

Karuzela z sympatiami



Londyn, Wielka Brytania.

Krystyna Cywińska

Różne rzeczy się pisze i mówi o nowych przybyszach z kraju. Ale jakoś nikt nie pisze o tym, że zdołali dokonać tego, co nam się przez lata nie udawało. Nam, czyli starej polskiej emigracji. Choć się bardzo o to starała. Pozyskać tutaj takiego jak ci nowo przybyli uznania jednak nie pozyskała. I docenienia ich wkładu w tutejsze życie codzienne. Nas tu po wojnie ledwo zauważano. Bywało, że lekceważono. Niedoceniano. Przedrzeźniano nasz akcent: *zenk ju wery mucz*.

Wyśmiewano nasze maniery. Te rączki całuję. I tę całą naszą galanterię. Wykpiwano nasz hurratriotyzm i obsesję narodowego męczeństwa. Nie byliśmy tu zbyt popularni. Ci śmieszni Polacy w demobilach, w żółtych butach, z teczkami na zakupy.

A przecież zaraz po wojnie stanęliśmy do odbudowy tego kraju. Z żołnierzy walczących o wolność staliśmy się armią robotniczą. Białymi murzynami do wszystkiego. I kością niezgody w związkach zawodowych. Tych zaklętych

rewirach zamkniętych dla obcych, najczęściej dobrze wykwalifikowanych sił. Jak się do związku nie należało, nie można było dostać lepszej pracy. A żeby się do związku dostać, trzeba było dostać tę lepszą pracę. Tak było przez wiele lat królowania związków zawodowych pod berłem królowej.

Powstały więc polskie robotnicze brygady. Srebrna brygada – począwszy od generała w dół – pucowała srebra w hotelach. Przypomnę, że gen. Stanisław Maczek, osławiony dowódca I Dywizji Pancerniej, uwielbiany przez swoich żołnierzy, był barmanem. Gen. Klemens Rudnicki, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, kurierem wycieczek po Europie. Gen. Stanisław Sosabowski, twórca 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej – magazynierem. Niegdysiejsi ministrowie i posłowie do Sejmu II RP pracowali w fabryce biskwitów. Oficerowie z cenzusem stali na straży w muzeach. Byli dozorcami w magazynach i biurach. Kelnerami w restauracjach. Ci niżsi rangą wyrąbywali węgiel w kopalniach i orali twardą glebę. Inni zabrali się za rzemiosło. Hydraulików, szwaczek, pokojówek i kucharek było bez liku. A podziemia kolejki londyńskiej pełne były zamiataczy z dyplomem. Ale jakoś tego nie zauważano, ani nie doceniano, ani z uznaniem nie pisano. Nie mieliśmy dobrej prasy. Raczej negatywną, bo byliśmy politycznie niewygodni. Polska się nie liczyła. Polacy też. A emigracyjni politycy byli tu solą w oku. Z czasem, uporczywie kując, wyrąbaliśmy sobie chodniki akceptacji. Ale było nas już wtedy niewiele. Takie uznanie dla odchodzącego gatunku.

Przyszedł rok 2004. Fala masowej emigracji i Polacy znów stali się białymi murzynami. Z tą różnicą, że od razu oficjalnie docenianymi, chwalonymi, pożądanymi. Opisywanymi w prasie i pokazywanymi w telewizji. *They blend with the landscape*. Mieszkańcy wioski pod Yorkiem znów mają na śniadanie świeże bułeczki wypieczone przez polskiego piekarza i sprzedawane przez polską *pretty girl*, która nawet z angielskim sobie radzi – jak pokazywano w telewizji. Polska *cleaning lady* o rumianych policzkach – jak pisał „Daily Telegraph” – wpisała się w cywilizację brytyjskich domów. Bo dobrze je sprząta i czyści. Polski osławiony *plumber* ratuje te domy od zalewu. Polski *builder* ratuje je przed ruiną. To byłby dopiero lament i dramat, gdyby ci polscy biali murzyni wrócili do kraju! Żeby się tam przefarbować na adwokatów, architektów, bankowców i wykładowców. No, co by to było!?

Nikt kilka lat temu w takie hipotetyczne gdybania się nie zabawiał. Aż przyszedł niejaki Brexit i zdarł kurtynę hipokryzji. Bo owszem, niech dokręcają te krany, wymiatają kurze i stoją rzędem na taśmie produkcyjnej. Ale przecież zabierają

nam miejsca w szpitalach, wydłużają kolejki do GP i biorą zasiłki na dzieci, które zostawili babciom w Polsce. Nas po wojnie odsyłano do kraju. Tę zadrę za polityczną skórą. Nowych przybyszy się kokietowało w politycznie poprawnych czasach. Czy teraz zatrzasną się przed nimi Brexitowe wrota? Aż krany znów zaczną cieknać, domy popadać w ruinę, a mieszkańcy wioski pod Yorkshire zaczną znów jeść odmrażany chleb?

Taką ot snuję ponurą wizję, w którą wolę nie wierzyć. Nie chciałabym się raz jeszcze zawieść w miłości w moim wieku. Tym razem do kraju, który mnie tu jednak przygarnął.

„Nowy Czas”, Londyn, nr 1/226, 2017.